NUMER 27. DNIA 2. LIPCA 1905 ROKU. ROK XIII.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

WOJCIECH KĘTRZYŃSKI. 2)

Żywioł niemiecki na ziemi poznańskiej.

Geschichte des Deutschtums im Lande Posen unter polnischer Herrschaft. Von dr. Erich Schmidt, Oberlehrer in Bromberg. Mit 25 Abbildungen and 2 Karten. Bromberg 1904. Str. XII. i 442. (Dzieje żywiołu niemieckiego w ziemi poznańskiej za czasów polskich przez dra Eryka Schmidta, wyższego nauczyciela w Bydgoszczy).

(Ciąg dalszy.)

W XIII-tym wieku gospodarstwo naturalne okazało się u nas już nieodpowiedniem. Polska była dotychczas krajem rolniczym, będącym co do stosunków handlowych zależnym od zagranicy. Chodziło książętom polskim więc o to, aby przejść do gospodarstwa pieniężnego i założyć sobie miasta jako centra handlu i przemysłu krajowego. Ponieważ pod tym względem Niemcy już mieli stanowisko wyrobione, więc książęta postanowili korzystać z wzoru gotowego i u siebie zaprowadzić tak zwane prawo niemieckie. Chcąc to uczynić, trzeba było z początku przynajmniej z prawem niemieckiem sprowadzić i Niemców obeznanych z tem prawem. Brano zatem Niemców lokatorów przeważnie z śląskich dzielnic. Niemcy ci, osiadli na Śląsku wśród ludności polskiej, nieznającej języka niemieckiego, a trudniący się przeważnie handlem, musieli już tam przyswoić sobie język krajowy, bo tylko za jego pomocą można było porozumieć się z krajowcami — pruskie szkoły germanizacyjne wówczas jeszcze nie istniały.

Miasta przez nich założone na prawie niemieckiem nie były bynajmniej osadami czysto niemieckiemi — należałoby to przynajmniej udowodnić — lecz cała ludność polska danej miejscowości weszła do nich a że rady niemieckie stojące na czele i wskutek nadań książęcych możniejsze od innych częściej występują w dokumentach, więc nadają nowym osadom pozór niemiecki. Do utrzymania tych pozorów przyczynia się język urzędowy tych miast. W XIII. wieku prawdopodobnie cała procedura administracyjna i rządowa odbywała się ustnie, gdy nastała potrzeba ustalenia i utrwalenia jej na piśmie, chwytano się języka niemieckiego, język polski wówczas nie był jeszcze piśmiennym — bo język niemiecki znany był nie tylko warstwom kierującym niemieckim, lecz z powodu stosunków handlowych i szerszym kołom. Protokoły zatem zaczęto pisać po niemiecku, czasem i po łacinie, ale stąd wcale nie wynika, aby całe miasto i wszyscy jego mieszkańcy byli Niemcami. Protokoły te prowadził zwykle pisarz miejski umiejący po niemiecku, po łacinie i po polsku, rozprawa mogła odbyć się po polsku, a pomimo to protokół był niemieckim, jak to i dziś się zdarza, gdy rozprawiający się włada innym językiem od sądu. Jak dzisiaj w Prusiech dla języka urzędowego z rozpraw spisanych po niemiecku, sądzić nie można, aby każdy Polak był Niemcem, tak było i za dawnych czasów, język urzędowy niczego nie dowodzi, bo inaczej język łaciński, który był urzędowym w administracji i sądach ziemskich, byłby dowodem, że nie tylko Polacy, ale i Niemcy posługujący się łaciną, byli Rzymianami.

Niemcy stale od lat wielu biorą język urzędowy, naturalnie tylko niemiecki, i prawo niemieckie za jedno z narodowością niemiecką a za ich powagą idą ślepo nasi — i dlatego tylko mogą mówić o rozległej kolonizacji niemieckiej w XIII. i XIV. w..

Ten błąd popełnia i nasz autor, choć przynajmniej co do XIV. wieku sam przyznaje, że prawo niemieckie nie jest dowodem narodowości niemiec-

kiej. Pisząc zatem o żywiole niemieckim, powinien był zbadać szczegółowo każdy wypadek, czego jednak nie czyni. Gdzie lokatorem miasta jest Niemiec, można z góry przypuścić, że żywioł kierujący będzie niemieckim; gdzie zaś Niemiec jest lokatorem wsi, prawdopodobnie cała wieś będzie niemiecką, ale już w XIII. wieku coraz częściej bywają Polacy lokatorami a ci z pewnością nie jeździli szukać osadników po Niemczech, lecz brali ich z miejsca t. j. z pośród ludności polskiej.

Niemcy zwykle sądzą o polskich rzeczach, nie umiejąc po polsku; do nich należy i autor, choć zna parę publikacji źródeł polskich; jako reprezentantów żywiołu niemieckiego przytacza on pomiędzy innymi: 1312 Ludwika syna Przemysława, 1355 Lutka (Lutko), 1394 Nicza Litwina; zdrobniałe formy polskie, choć urobione z imion niemieckich, uchodzą u niego za niemieckie, jak n. p. Gerko, Hanko, Paczko itp. Dlaczego Bruno z Środy i Konrad z Bonikowa mają być Niemcami, absolutnie nie mogę zrozumieć, również jak i tej okoliczności, że nazwiska podane w przekładzie łacińskim, mają oznaczać tylko Niemców, tak n. p. Johannes Faber, Nicolaus Pontifer nazywają się według niego „Johann Schmidt i Nickel Brückner lub Bruggemann“, ale broń Boże nie Kowal lub Mostownik. W ten sposób można wszystko udowodnić. Nareszcie sam autor przytacza przykład, że Niemcy po miastach i miasteczkach polonizowali się.

U niego także jest Bydgoszcz przykładem wybitnym, czego niby żywioł niemiecki potrafił dokonać. Jest racja, że Kazimierz Wielki polecił dwom Niemcom założyć pod Bydgoszczem miasto na prawie niemieckiem, które zwać się miało Königsburg. Ale że to miasto nigdy tak się nie nazywało, że w XV. wieku miało samą tylko ludność polską, co wykazują spisy konsulów i ławników, to wszystko jest dowodem, że ów projekt królewski nie przyszedł do skutku, że Bydgoszcz od samego początku była miastem czysto polskiem, że handel i oświata, które tam kwitły, były dziełem polskiej pracy i kultury *)

(Dok. nast.)

*) Bibljoteka ks. Czartoryskich w Krakowie posiada bardzo obszerną i cenną kronikę miasta Bydgoszczy.

Monopol.

OBRAZEK Z POWIATU ŚNIATYŃSKIEGO.

Głos trembity odzywa się donośnie, przeciągle, załamuje pomiędzy górami i odbija echem w duszy nieszczęśliwego. Radby krzyczeć, ale w piersi zabrakło głosu, zaledwie cichym jękiem odpowie od czasu do czasu. Radby podążyć za głosem trembity i zobaczyć ludzką twarz, której od trzech dni nie widział — ale ręce i nogi przywiązane silnie do sosny. W tę głuchą — ciemną noc, przeraża go wszystko, szczyty gór wydają mu się olbrzymami zbliżającymi się do niego, okrążającymi go po to, ażeby zdusić swoją ofiarę. Z głodu i znużenia wyobraźnia przedstawia mu dziwne i rozmaite obrazy, czasem widzi swoją chatę daleką w Trościańcu, żonę krzątającą się około ogniska, siebie siedzącego na ławie przed ogniskiem z fajeczką wonnego tytoniu w zębach — czasem przemknie szereg ludzi czerwono ubranych, z besahami *) na plecach, idących z pochylonemi głowami i podnoszących wysoko kolana, tak, jak myśliwy, który podchodzi zwierzynę — innym razem zielony mundur błyśnie mu przed oczami i na ten widok wstrząśnie się całem ciałem — w takich chwilach lęk przyprowadza go do przytomności i słyszy najwyraźniej daleki ryk niedźwiedzia — strach dodaje mu siły i powrozy zatrzeszczą od gwałtownego zrywania się Ostafiego, ale daremne wysiłki! — powrozy mocne, a u niego coraz mniej sił.

*) Podwójne wory.

Mija noc leniwo — szary ranek przeciska się przez załomy gór, już i słońce zaczyna przyświecać — w lesie coraz gwarniej. Nadleciał dzięcioł, siadł blisko Ostafiego i puka w drzewo. Biedny pokutnik, pomyślał Ostafi, i on był kiedyś człowiekiem, a dziś pokutuje, jak ja. Ale za co ja? Przecież nie chodziłem, jak on, w niedzielę Wielkanocną rąbać drzewo do lasu. Jemu przecież ukazał się anioł i pytał:

— Dla czego stukasz w lesie w tak wielkie święto?

— Drzewo rąbię, gdyż nie mam co jeść.

— Czegoż chcesz, ażebyś dziś nie rąbał?

— Wiele pieniędzy — odpowiedział człowiek.

— Idź do domu a będziesz miał tyle pieniędzy, ile zechcesz.

Człowiek poszedł do domu i zastał cały wór obiecanych pieniędzy.

Na drugi rok, na Wielkanoc poszedł znów do lasu i zaczął rąbać drzewo. — I zjawia się anioł i pyta:

— Co chcesz, ażebyś dziś nie rąbał?

— Chcę mieć wielki majątek.

— Idź do domu a będziesz miał wielki majątek.

Na trzeci rok na Wielkanoc poszedł znów człowiek ten do lasu i zaczął rąbać. I zjawia się anioł i pyta:

— Czegoż chcesz, ażebyś dziś nie rąbał?

— Chcę być Bogiem — odpowiedział człowiek.

— Pukaj, dopóki świata i słońca.

Przemienił się człowiek w ptaka i puka. Ale on szczęśliwszy, bo przelatuje z drzewa na drzewo a Ostafiego krępują sznury.

Zerwał się nagle dzięcioł spłoszony z krzykiem, bo oto gromada ludzi zbliża się ku Ostafiemu. Naraz — kiedy radość i nadzieja zabłysła w duszy umierającego, oko jego spostrzega mundur zielony, — jedno szarpnięcie, jeden jęk, a potem cisza zupełna. Z ostatniem tchnieniem, zawarły się powieki, ażeby nie widzieć tego wstrętnego munduru.

Otworzywszy oczy, ujrzał się w obszernej izbie, w otoczeniu ludzi ubranych z pańska, którzy z troskliwością usługiwali mu i wypytywali o jego losy. Postępowanie ich ośmieliło Ostafiego i po kilku zapytaniach dowiedział się, że znajduje się w domu leśniczego i że człowiek w zielonym mundurze, to nie „zełenyj", *) tylko leśniczy kameralny, i że miejscowość, w której obecnie przebywa, jest oddaloną pięć mil od Trościańca. Dopiero po sutym obiedzie, wzmocniwszy się na siłach, zaczął opowiadać Ostafi historję swego nieszczęścia w ten sposób:

U nas, na dołach, straszno bardzo pod jesień. Jak bieda przyciśnie z wiosną, człowiek łakomi się, idzie do Zabłotowa i prosi o licencję do sadzenia tytoniu. A potem strach całe lato — strach całą jesień, dopóki nie odda do magazynu. W lecie przychodzi rewizor — mierzy ziemię świętą, nastraszy, że się odechce i tytoniu — potem przychodzi, jak schną sznury — waży, rachuje i zapisuje, a tak się patrzy na człowieka, jakby mu ten rodzoną matkę zabił — i nie wiedzieć za co? Nie raz — nie dwa — niema centa przy duszy, chciałoby się zapalić żółtego tytoniu, co aż pachnie — ale strach! — a nuż nadejdzie „kotiuha" ! Albo to nie moja ziemia? albož to nie moje ręce robią koło tytoniu? To tylko na większy żal biednemu, ale już takie prawo — i nie może być inaczej. A w jesieni, to radby każdy schować się pod ziemię, tak się boi, bo rewizor poodważał sznury, obrachował, wiele ma być wagi na tem polu, które mierzył i zagroził dobrze — nie daj Boże, ażeby w magazynie co brakowało, można stracić grunt i bydło, a samemu w kryminale zemrzeć. A huculi nie dają spokoju, zwijają się około każdej chaty, bo u nich nie sadzą tytoniu, bo i gdzieżby? — na górach i skałach? Kuszą a kuszą człowieka, że dobrze zapłacą, ale niech Bóg uchowa od takiego rozumu.

Pytacie mnie panowie, skąd ja się wziąłem w lesie — to było nie inaczej, tylko za sprawą hucułów. Przyszli do mnie przed czterema dniami, namawiali, ażebym im sprzedał kilka sznurów tytoniu, prosili — grozili, lecz ja się nie dałem namówić. Albo to ja nie pamiętam, jak w Ilińcach wyłapali hucułów, kazali pokazać, u którego gospodarza kupili tytoń i tak ukarali tego gospodarza, że musiał sprzedać woły i zapłacić trzysta złotych. Albo i u nas, czy stary Pawło nie poszedł z gruntu za taką samą sprawę, — jak narachowali rewizory karę, tak i grunt sprzedali na licytacji i jeszcze stary musiał siedzieć w kryminale. Moi huculi rada w radę i dalej pakować tytoń w besahy, a drudzy wzięli się do mnie, bo się bali, ażebym nie zdradził, związali mi ręce, zatkali gębę i pokazali pieniądze, które odrachowali i zawinąwszy w płatek, schowali za obraz św. Mikołaja. A dobrze zapłacili! niech im Bóg da zdrowie, w ten czas zawiązali oczy i zabrali ze sobą. Potem prowadzili długo i nareszcie przywiązali do sosny. Odwiązali oczy i gębę, a odchodząc, powiedzieli:

— Wybaczaj breee *) — ale my musieli tak zrobić, bośmy się bali, ażebyś nas nie zdradził.

Po kilku dniach odpoczynku, wrócił Ostafi do domu — i od tej pory, zdaje się, był łatwiejszym w stosunkach z hucułami.

Dr. Mieczysław Grochowski.



*) Zielony — tak nazywają włościanie straż finansową.

*) Wyraz bre, wymawiają huculi przeciągając długo literę „e" — jest on skróceniem wyrazu „brate" - bracie.

Pod trzeciego króla.

(Ciąg dalszy.)

Oglądałem jeszcze i portret Racibora księcia Pomerańskiego, pod którym napis w języku łacińskim przetłumaczony na polskie brzmi:

„Racibor, książę Pomorza, fundację tę pobłogosławił i zatwierdził własnym swoim dyplomem. On także kościół zbudowany dawniej odnowił w kształty piękniejsze i wspanialsze i nadał mu nowy tytuł „Zwiastowania Najświętszej Panny Marji“.

Ponieważ polski nasz Toruń niemcy dziś zeszwabili, przeto pozwolę sobie dla pamiątki przytoczyć jeszcze napis, w tym kościele ku pamięci króla Sobieskiego, u wielkich drzwi, po stronie południowej umieszczony.

Jest to duża tablica na murze zawieszona dość wysoko a na niej napis łaciński, który na polskie wykłada się, jak następuje:

„Obelisk nieśmiertelnej chwały Najłaskawszego i niezwyciężonego króla polskiego
JANA III.
zbudowany niegdyś miastu ku ozdobie, całemu światu na przykład, obecnie potomności na pamiątkę z zapomnienia wydobyty“.

W tym miejscu jest wymalowany niby stół, ponsową materją przykryty, na nim namalowany pałasz, jabłko i korona królewska, a niżej takowy napis: (w tłumaczeniu polskiem):

D. O. M.

„Janowi III., królowi polskiemu, oswobodzicielowi Węgier i Austrji, pogromcy Turków, wiary chrześcijańskiej obrońcy, gorliwemu katolikowi, posłusznemu synowi Stolicy Apostolskiej, pomiędzy królami najmądrzejszemu, pomiędzy książętami najwspanialszemu, którego chwała oręża królestwo przepełnia, łagodność umacnia. I wieki przetrwa ta chwała. Jego czyny strzegą świętych praw przymierzy, gną półksiężyc turecki w służbę wiecznego Kościoła. Tak go mężnie wyrugował z krajów chrześcijańskich. I był jedynym, który wśród radości całego chrześcjańskiego świata i cesarstwa przybył, zobaczył i zwyciężył okrutne zbrodnie półksiężyca — o tem niech wiedzą potomni. Był człowiek od Boga posłany, którego imię było Jan“.

Obok tej tablicy jest druga podobna, ale że była nie tak czytelna i napis był dłuższy, toć jej nie odpisałem.

Przyszedłszy pod starożytny ratusz, który ma tyle okien, co dni w roku, oglądałem z przyjemnością pomnik ks. kanonika Kopernika, który nam tyle sławy swą nauką zdobył, że dziś się niemcy duchem do niego przyznają.

Stoi ten bronzowy czy spiżowy pomnik na ładnym granitowym postumencie, a raczej na studni. Wodę zieje potworne jakieś smoczysko, a na ławach kamiennych, ustawionych wokoło, bez ceremonji sadowią się obdarci oryle.

A choć ich stamtąd czasem (gdy się zachowują hałaśliwie) opasłe niemczysko, policjant odpędza, oni jak te wróble za chwilę znów siadają przy Koperniku — jakby chcieli powiedzieć szwabowi: „to nasz ksiądz i nasz uczony, my go sobie wydrzeć nie damy“.

Ciekawie przyglądałem się na straganach owym sławnym piernikom toruńskim, na wypieczenie których, jak czytam, wychodzi tu do 5.000 cetnarów miodu — ale ich niespróbowałem. Jedno, że to za wielki wydatek na oryla, a drugie, że słodyczy nie znoszę.

O Toruniu pisze Klonowicz, że „budowny i w cnoty bogaty“, może i był taki co do cnoty kiedyś, ale dziś hakata pruska i tam pazury zapuściła i lubo tam „Przyjaciel“ i „Gazeta toruńska“ walczą, nie żartują, to potęga pruska zrobiła tam nie mało spustoszenia.

Zniemczało to do szczętu i zaledwo wtedy 2 domy gościnne były takie, gdzie się oryl mógł po polsku rozmówić. A co szczególne, że choćby był oryl i czarny — byleby miał na sobie sukmanę polską, to jeszcze ma do restauracji wstęp wolny — inaczej go nie puszczają.

Życie w pruskim kraju jest droższe jak w Polsce a pruski chleb zwany walce, lubo delikatniejszy jak sołdacki, ale droższy i mniej pożywny dla oryli.

Podobało się to flisom pod „trzecim królem“, że ma dużo złota i srebra, a tamci dwaj to tylko „papiurami gniotą“.

Mijając Toruń, wspominali starzy oryle o r. 1873, kiedy było flisu dowolna i dobrze płacili kupcy. Każda winduga *) roiła się od kupy drzewa i robotników, tylko ta cholera wtedy dała się niejednemu we znaki i niejeden do domu nie wrócił. Co rana widać było na tratwach, jak budę po nieboszczyku zapalano wraz z jego bagażami, zrzucano na Wisłę, a nieboszczyczka oryla zabierano na łódź i po raz ostatni wywożono na „ląda“.

„Pamiętam to dobrze, mówił jeden oryl, ja też zaszwankował wtedy, zakroiło mię coś straszecznie na wnątrzu i rebekowało **) mię na oba sposoby, że niech ręka boska broni.

---

*) Winduga — miejsce, skąd spychają drzewo na wodę.

**) Wymiotowało.

Kazałem się wywieść na „ląda“, pod krzaki, ot tu za Toruniem, i czekam zmiłowania boskiego. Rano nadeszła jakaś „lutościwa“ mieszczanka, a widząc, że bieda ze mną, przywiozła mi gorącej mięty pieprzowej. Doczyniła mi do tego haraku i już mię nie tak brało za boskie poszycie (za nogi, prz. aut.). Gdym się mało wiele skrzepił, zabrała mię ta kobiecina do swego domu, a byłem brudny, i gady za kołnierzem u oryla nie rzadkością i to jakie! Wszak wieta waje, że wesz orylska, gdy se wyjdzie na tratwę, to wrona musi się dobrze uwijać, zanim ją ucapi. Ta kobieta nic na to nie dbała, ale mnie wpakowała w piękną białą pościel, poszła po te cholerne krople do apteki i dawała mi je na cukrze. A gdym jej powiedział, że i ja w Woli gręboszowskiej mam żonę i dwoje małych dzieci, to biedne babsko lutowało ich, mówiąc „o biedna żona, ona też ani niesłycha, co się z jej mężem dzieje“ i skakała koło mnie gdyby rodzona żona. Potem kazała mi dać 2 marki i zaniosła księdzu do Torunia, by mszę za mnie odmówił, no i takem wtedy ledwo grόbarzowi z pod łopaty uciekł.

Do dziś dnia Boga za nią proszę i dziwno mi, że nieznana baba, mnie obcego tak obsermowała*) bo nasze baby, nie chciałyby tak koło obcego usnachtować**). Ale to już widać taka postanowa, boć u nas to obcego odsyłają od domu do domu, i nawet go często przenocować niechcą. Ale ja, od tego czasu z chęcią nocuję, jaki tylkoby do mnie dziad nie przyszedł, bo wiem dobrze, co to znaczy poniewierka po świecie“.

Niedaleko Solca, czyli jak niemcy przezwali „Szulitz“ jest góra, tak zwana kataryńska. Płynąc koło niej, robią oryle z chrustu kropidła i kropią biednego fryca, który dopiero w Solcu okupuje się poczęstunkiem od dalszych opałów i tego bicia przy Nogacie, o którem pisze Pol, już niema.

Wisła tu należycie uregulowana i obwałowana nadaje się do bezpiecznej żeglugi, to też aż ciasno od tratew, berlin i statków.

Jak się to nie miała podobać niegdyś orylka po Wiśle dużym panom, kiedy ja za darmo prawie pływając, znajduję wielkie w tem upodobanie!

A widać, że można szlachta z swymi produktami tu dużo jeździła, bo Kochanowski narzeka na nią, że zamiast jechać do wojny z Tatarami, ona się „pławi do Gdańska za talarami“.

Bo to było co z kraju dawniej wywozić, były odwieczne bory, było dosyć zboża, robotnik był daremny i tylko za garść grochu spławił to panu do Gdańska. Za Zygmuntów, z Gdańska, naszego zboża wieziono zamorczykom co roku z wyż 5 tysięcy okrętów, a któż mógł policzyć tratwy drzewa, którego tyle spławiano?

Jeszcze w r. 1847. płynęło Wisłą przez Król. polskie:

Berlinek . . .	406
Galarów . . .	1281
Bajdaków (kogutów) .	2
Kryp	462
Łódek . . .	9
Statków parowych . .	2
Tratew . . .	2040

Ładunek tych statków od 1. sierpnia do połowy grudnia 1847 wynosił:

Węgla kam., cebuli, orzechów korcy	61.400.
Towarów kolonialnych suchych cetn.	203.615.
Śledzi, syropu, terpentyny, beczek	98.147.
Drzewa opałowego i kamieni sążni kub.	5.901.
Klepek, bali, jaj, ryb itd. kóp	32.669.
Drzewa, cegły, maszyn itd. sztuk	144.366. *)

Flisu na tedy było chyba do wolna, i nic też dziwnego, że nawet zamożny gospodarz rzucał z wiosną rolę, by grosza gotowego coś zarobić i „świata przejrzeć“, jak mówiono. Dziś z postępem oświaty nasz wychodźca 15 letni, lub 14 letnia dziewczyna mniej ma ceregieli i obawy, jadąc do Ameryki, niż wtedy oryle, co żeglowali polską rzeką po polskim kraju, a że pływali rzeką, która dziś do trzech władców należy, zdawało się im, że to Bóg wie, gzie ten pal, bo aż pod „trzecim królem“.

Za Solcem warta musiała być czujniejszą, gdyż po Wiśle wałęsa się mnóstwo „korsarzy“ wiślanych, których oryle zowią „buksami“. Taki „buksa“ wałęsa się nocą po Wiśle, czy to za rybami, czy już sam nie wiem za czem, a gdy płynie koło tratwy a ta jest źle pilnowaną, to „świśnie“ kawał drzewa z tratwy i kłopot. To też wartownicy wołają co chwila: „hukaj, hukaj, bo buksa jedzie“.

We dnie chłopaczki małe tamtejszych nadbrzeżnych mieszkańców też jeżdżą na łódkach i wołają: „dajcie drewko, flisaczkowie, dajcie drewko“, a czasem to śpiewają: „Flisaczkowie z Woli, dajcież no mi soli, Bóg was zaprowadzi, gdzie będziecie chcieli“.

I rzeczywiście, że taki berbeć jaki okruch drewka dostaje, a widać, że i galary sól wiozące

*) Obserwować, pielęgnować z szacunkiem.
**) Obsługiwać.

*) Warszawa. Sobieszczański 1848.

robiły im jaki prezent, skoro nawet śpiewkę na ten cel mieli gotową.

Pruskiem terytorjum tratwy mkną szybko i rzadko się tu trafi, by tratwa osiadła na haku, czyli „powaliła“, toć flis zły, że niema „wesela“, a tu „kümmel“ pruski tęższy, niż galicyjska okowita, którą żyd chrzci niemiłosiernie.

Retman się spieszy, by co rychlej jechać po nową „ryzę“, ale flisak markotny, bo mało pruskich marek zarobi. Stąd też zapewne powstała śpiewka:

ORYL.

„Czegóż się, retmanie, po tej wodzie wleczesz,
Czemuż do oryla słówka nie przerzeczesz?

RETMAN.

Przerzeknę, przerzeknę, ale tylko czasem,
Ja ci, zawaruję, pod zielonym lasem.
Tam ci zawaruję i kół ci zaryję,
Jak mi tam nie staniesz, wtedy cię obiję.

ORYL.

Z tratewką dopłynę i u drąga stanę,
A wtedy mój retmanie, co się z tobą stanie?

Jakób Bojko.

(C. d. n.)

MARJAN GUMOWSKI. 10)

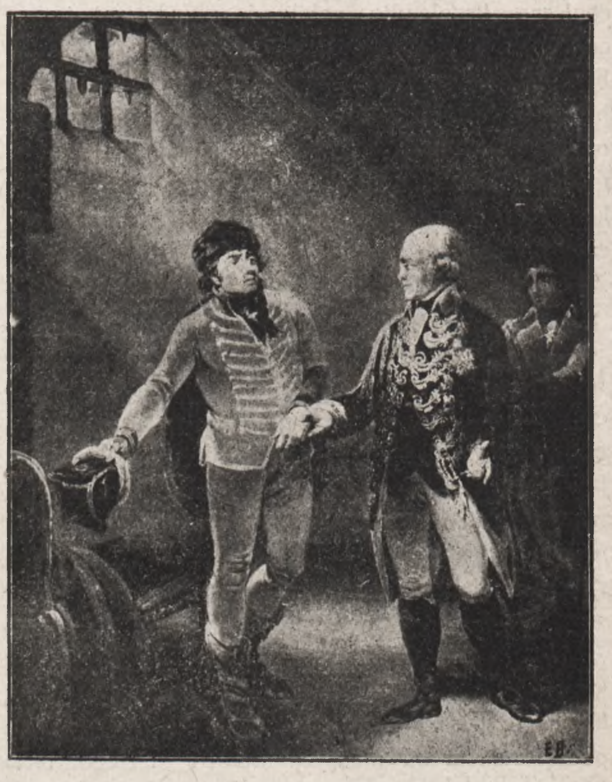
Portrety Kościuszki.

(Ciąg dalszy.)

W czasie pobytu Kościuszki w Londynie, powstał jeszcze jeden jego portret malowany przez *Henryka Singletona*, pierwszorzędnego malarza historycznego. Przedstawia on Kościuszkę przyjmującego we więziennej celi cara Pawła. Kościuszko w kubraczku szamerowanym, z krakuską w ręku, słania się na chorych nogach, a twarz jego o żywym blasku oczu wyraża ból i radość zarazem. Znakomity ten portret (Fig. 16.), znany jedynie ze wspaniałej ryciny *Jamesa Daniella* z 1798 roku, miał być według podpisu na tejże rycinie wykonany pod bezpośrednim kierunkiem samego Kościuszki (peinted under the immediate direction of Gen-l Kościuszko.). Trudno dać temu jednak wiarę, ze względu na odmowy, jakie spotykały innych artystów. Przypuszczać raczej należy zwykłą reklamę angielską w celu podniesienia wartości samej ryciny. Potwierdza to jeszcze i ta okoliczność, że nie słyszymy, aby w następnych latach powstał jaki nowy portret Kościuszki.

Wprawdzie Kościuszko wyjeżdża wkrótce z Londynu do Filadelfji, gdzie sam nawet maluje portret swego przyjaciela Jeffersona *), jednakże już w lipcu 1798 roku widzimy go w Paryżu, gdzie w ruchu emigracyjnym i legionów polskich żywy z początku bierze udział. Jednakże z tego czasu i długich lat następnych nie posiadamy, oprócz może bitwy Ra-

Fig. 16.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Miedzioryt szt. czar. J. Daniella pogług obrazu Henryka Singletona z 1798 r.

cławickiej *Casanovy*, żadnego nowego portretu Kościuszki. Coraz bardziej przez Napoleona ignorowany, a przez swoich opuszczony i osamotniony, siedział dawny bohater u przyjaciół Zeltnerów to w Berwille pod Paryżem, to w Solurze w Szwajcarji, a portrecistę swego znalazł dopiero w ostatnich latach życia w osobie *Ksawerego Zeltnera*, pułkownika i adjutanta jenerała Rybińskiego. Zeltner zdolny rysownik amator nie miał wcale pretensji do pierwszorzędnego artysty, portrety jednak Kościuszki przez niego zrobione posiadają tę wartość, że robione były z natury.

Wszystkich oryginałów Zeltnera nie znamy. Z niektórych są tylko kopje litograficzne: n. p. *Ludwika Letronna* w Warszawie, przedstawiająca Kościuszkę w zapiętym szamerowanym tużurku i podpisem, że jest to kopia z oryginału rysowanego w Szwajcarji w 1815 roku (Fig. 17.). Twarz jednak zbyt młoda, nieprawdopodobna u 69-letniego jenerała.

Fig. 17.



Muzeum Narodowe w Krakowie
Litografja Ludw. Letronna podług rysunku Zeltnera z 1815 r.

Jeszcze bardziej wyidealizował ten typ *Józef Sonntag*, jeden z najzdolniejszych naszych miniaturzystów i litografów w początkach XIX w., a za nim poszli inni, jak *Michelski* w Krakowie, (rys.), *Gauter* litograf we Wrocławiu. *Winckelman* w Berlinie, *M. Ziemski* w Warszawie i inni.

(C. d. n.)

---

*) Portret Jeffersona znany jest z bardzo rzadkiego sztychu kolorowego, wykonanego przez jen. Sokolnickiego.

Miłość i małżeństwo.*)

Dziwnie aktualny temat, który nawet prawodawcom francuskim sporo sprawia kłopotu, gdy idzie o skodyfikowanie obowiązku miłości w małżeństwie. I właśnie wtenczas, kiedy cała opinja francuska debatuje nad tą może jedną z najważniejszych kwestji życiowych, dodaje do niej słynna dziś autorka szwedzka całe dzieło, będące ostatnim wyrazem w jej długoletniej działalności na polu feministycznem. Elen Key jest wyjątkowem zjawiskiem, a jej poglądy na tak zwaną kwestję kobiecą, poglądy zupełnie oryginalne, odbiegające nieledwie zasadniczo od postulatów „emancypacji“ zjednały jej mnóstwo wyznawców i tyleż prawie przeciwników. W dziełach swoich „Kobieta przyszłości“, „Stulecie dziecka“ i w najnowszej wreszcie książce, o miłości w małżeństwie, która niedawno w tłumaczeniu polskiem znalazła się na półkach księgarskich, pragnie Ellen Key wywalczyć dzisiejszej kobiecie prawo do dziecka, bez względu na to, czy jest ono ślubne, czy nie, pragnie dalej złagodzić los dzieci nieślubnych tak często i tak strasznie niekiedy upośledzonych i dla nich też nawet w kierunku praktycznym bardzo wiele w ojczyźnie swojej uczyniła. Jej dziełem i pomysłem są fermy, gdzie takie dzieci chowają się pod okiem matek, które równocześnie mogą bez przeszkody oddawać się zajęciom zarobkowym.

Głównym celem kobiety jest, wedle poglądów Ellen Key, macierzyństwo. Niech sobie pracuje, gdzie i jak chce, niech walczy o równouprawnienie z mężczyznami, o prawa polityczne etc., ale nigdy nie będzie szczęśliwą, nigdy lepiej nie spełni swego zadania, jak wtedy, gdy zostanie matką. „Kobieta przyszłości — powiada — będzie zawsze kochającą żoną i matką; jej kultem będzie stwarzanie i udoskonalanie szczęścia ludzkości. Znając wszelkie warunki fizycznej i psychicznej doskonałości, będzie mogła trzeźwo i w poczuciu własnej odpowiedzialności wybierać ojca dla swoich przyszłych dzieci. Kobieta przyszłości już istnieje w marzeniach mężczyzny, formuje się i rozwija odpowiednio do tych marzeń“. „Niech kobieta — mówi znowu na innem miejscu — będzie szczęśliwą, pamiętając o tem, że jest kobietą, niech się wznosi na wyżyny i niech prowadzi ku nim mężczyznę“.

Dwie te rzeczy: przyszłość dziecka i udoskonalenie kobiety, przyświecają jej wywodom o mi-

---

*) Ellen Key. Miłość i Małżeństwo. Tłum. St. Witwicki. Lwów. 1905. Księgarnia Polska.

łości i małżeństwie. Książkę jej czyta się z niezwykłem zainteresowaniem, tyle w niej nowych, oryginalnych myśli, tyle czaru prawdziwie szlachetnej duszy, kochającej ludzi i radej ludzkości zapewnić największą sumę szczęścia ziemskiego. Więzy, którymi stosunki dziejowe skrępowały ludzkość, nie istnieją dla autorki wcale. Ona pragnie tylko szczęścia ludzkości i do tego szczęścia widzi, przynajmniej we własnem przekonaniu, drogę prosto i jasno wytkniętą. Jeżeli jest rzeczą instytucji małżeńskiej osobiste szczęście dwojga ludzi i wychowanie potomstwa silnego fizycznie i duchowo, to żadne przestarzałe kodeksy, żadne konwenanse, uświęcone choćby wiekami zwyczaje nie mogą tu wchodzić w rachubę.

Czytelnika polskiego książka Ellen Key zrazi może na wielu miejscach omawianiem stosunków, obcych dla nas niejednokrotnie, a nawet czasami niezrozumiałych — ale jej myśl, jej ostateczne wyniki, jej krytyka wreszcie obecnych stosunków pobudzi jednak do poważnego rozmyślania nad kwestją wtłoczoną dziś w prawne formułki i bezmyślnie, albo w najlepszym razie lekomyślnie omijaną przez ludzi. Wysunie się nareszcie i kwestja reformy prawa małżeńskiego, jako jedna z kwestji piekących tak ze względu na samą kobietę, jak i na przyszłe pokolenia.

Tłumaczenie na język polski książki o miłości i małżeństwie jest bez zarzutu. Styl zwięzły i jasny dodaje argumentom autorki wiele plastyczności i mocy przekonywującej. *Fr. Jaw.*

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA

Władysław Orkan: Ofiara. Fragment dramatyczny z 1846 r. Kraków. 1905. Nakładem Spółki nakładowej „Książka". Drukowany w „Tygodniu" b. r., pełen wstrząsających scen utwór Orkana, wyszedł obecnie w książce. Prócz tego wyszły nakładem „Książki" jego nowele p. t.: „Herkules nowożytny i inne wesołe rzeczy", i tragedja w 3 aktach p. t.: „Wina i Kara". Książki te omówimy w jednym z najbliższych numerów „Tygodnia".

Józef Kościelski. Co mi Tatry dały. Preludja, Sonety. Kraków 1905. Prześliczna okładka, fragment Tatr przy zachodzącem słońcu, pędzla niezwykłego artysty, prof. Wyczółkowskiego, przyciąga człowieka do tej książki. Po jej przeczytaniu jednak nasuwa się pytanie: komu więcej dały te Tatry? Poecie czy malarzowi? Prof. Wyczółkowski, którego fragmenty tatrzańskie miałem szczęście oglądać w krakowskiem Tow. Przyj. sztuk pięknych — dał swym utworom tyle piękna, że sąd o nich może się ujawnić tylko w zachwytnem milczeniu. Nie tylko Tatry jemu, ale i on dał coś Tatrom. Inaczej z poezjami p. Kościelskiego. Niewątpliwie są one śpiewkami duszy szczerze miłującej piękno i dobro, duszy wrażliwej nawet i na przepiękne pieśni ludu naszego, nie posiadającej jednak w władztwie swojem *słowa*. O ten brak rozbijają się wszystkie cnotliwe chęci autora i... ostatecznie dowiadujemy się, że autor nie mógł i nie umiał wyśpiewać tego, „co mu Tatry dały"... Zaznaczyć jednak trzeba, że w tomiku tym nie brak i wdzięcznych kilku wierszyków — i kilku, przypominających w tendencji wspaniałe „Tatry" Nowickiego. Ozdabiał i układał tę książkę z wielką starannością i wytwornym smakiem p. Jan Bukowski, artysta malarz z Krakowa.

Fel. Gw.

ZAPISKI.

Pamiątki po C. Norwidzie. P. Chłapowski w Kissingen posiada w spadku po Włodz. Lubieńskim ciekawe pamiątki po Norwidzie, niezwykłym poecie, którego „odkrył" p. Miriam-Przemycki, mianowicie: album rysunków Norwida z r. 1846—7, książkę z psalmami Dawida, ilustrowanymi przez Norwida w więzieniu berlińskiem 1846 r., z monologiem jego i wierszowanym przekładem Dantego, wreszcie dagerotyp z tegoż samego roku.

Ze zbiorów prywatnych. Jeszcze o „Białym Dworze". W opisie umieszczonym w 25. numerze „Tygodnia" pominąłem rzeźbę własnoręczną Lenartowicza, darowaną śp. Darowskiemu i szkic tegoż, robiony ołówkiem przez Matejkę.

W rękach p. Dra Czerwińskiego w Bóbrce znajduje się toporek z krzemienia łupanego, bardzo dobrze zachowany, wykopany przed kilku laty w Miechowie (Kongresówka).

W skarbcu kościoła bóbreckiego, nadzwyczaj cennej pamiątki, jako kościoła obronnego, znajduje się 200—300 różnych aktów — jak akta radzieckie od początku 17. w., oraz wiele rzeczy dotyczących miasta przy końcu 18 stulecia.

Karol Notz.

Drukiem W. A. Szyjkowskiego we Lwowie, ul. Kopernika l. 5.